

Cud Wigilijny Anno Domini 1914



Była zimowa, wigilijna noc pod flandryjskim niebem, od początku wojny zginęło już milion ludzi, ale jeszcze się tego nie czuło. W okopach naprzeciwko siebie siedzą z jednej strony przemarznięci do szpiku kości żołnierze brytyjscy, głównie Szkoci a z drugiej Niemcy. Wszyscy mają już dość strzelania. Jest cicho. Nagle z niemieckich okopów podnosi się cichy śpiew – *stille Nacht, heilige Nacht* – nuci jakiś żołnierz. Po chwili dołącza się do niego drugi, potem trzeci i za kilka minut „Cichą noc” śpiewają już setki głosów. Przemarznięci do szpiku kości Szkoci słuchają, po czym zaczynają bić brawo, stukać bagnetami w blaszane puszki i domagają się więcej.

To dodaje Niemcom otuchy, śpiewają głośniejsze. Nikt nie protestuje, nie padają rozkazy, by przestać. Nastrój wigilijnej nocy udziela się wszystkim.

Niemcy wbijają na bagnety zapalone świece i wysuwają je ponad krawędź okopu. Wrażenie jest niesamowite. Nagle ktoś po niemieckiej stronie zaczyna śpiewać popularną angielską piosenkę „*Annie Laurie*”. Brytyjczycy podnoszą nieśmiało głowy, niektórzy zaczynają wyglądać ciekawie z okopów. Nagle z niemieckiej strony pada propozycja: nie strzelajcie, my też nie będziemy strzelać. Na krawędzi niemieckiego okopu pojawia się jakaś postać; to oficer, który pierwszy zaczął śpiewać kolędę. W rękę trzyma pokrzywioną, udekorowaną kawałkami jedzenia i błyskotkami choinkę. Krzyczy do Brytyjczyków, żeby nie strzelali, że jego życie jest w ich rękach. Powoli zaczyna zbliżać się do linii alianckich okopów.

"Widzieliśmy ich pierwszy raz z bliska" – zanotował pewien szkocki ochotnik. Po obydwu stronach było dużo zdziwienia. Brytyjczycy ze zdziwieniem spostrzegli, że Niemcy są mniejsi i drobniejsi od nich. Na ziemi niczyjej, pomiędzy liniami wrogich okopów, zaczął się festiwal przyjaźni. Ktoś kopnął pustą puszkę, ktoś inny podrzucił ją nogą do góry i posłał w niebo. Kiedy spadała, przechwycił ją but jakiegoś niemieckiego kaprała i wyekspediował wprost do brytyjskiego okopu. Chłopcy przestali się zabijać, zaczęli grać w piłkę. Nie piłką oczywiście, tylko wszystkim, co akurat było pod ręką. Niemcy wywlekli skądś świnię, którą zarznęli i na miejscu zaczęli ćwiartować i piec. Zrobiło się rodzinnie i wesoło. W dzień Bożego Narodzenia sytuacja się powtórzyła. Nikt nie strzelał, nie było zabijania i krwi. Pomiedzy liniami okopów płonęły ogniska, słychać było śpiewy i gwar rozmów. Świąteczny nastrój przeniósł się na inne odcinki frontu, wczorajsi wrogowie bratali się i padali sobie w ramiona. Do podobnych scen doszło także na tych odcinkach, gdzie w okopach siedzieli Francuzi. Nikt nie miał ochoty na dalszą wojnę. Niektórym wydawało się nawet, że uda się zakończyć działania zbrojne przez ten spontaniczny zryw prostych żołnierzy i oficerów frontowych. To było to jednak złudzenie. Dowództwo po obydwu stronach frontu było zaskoczone i całkowicie nieprzygotowane na tego rodzaju niesubordynację ze strony podwładnych. Gdyby chodziło o dezercję, bunt lub zbrodnię, sprawa byłaby łatwa – sprawców należałoby rozstrzelać po uprzednim osądzeniu w trybie doraźnym. Kiedy żołnierze śpiewają, wspólnie jedzą i kopią puszki, nie wiadomo, co zrobić. Przytomniejsi niemieccy generałowie zareagowali po ludzku. Zabronili swoim żołnierzom strzelania. Nie było wojny, przynajmniej na razie, niech trwa gwiazdkowy festiwal.

Dowództwo brytyjskie zareagowało zupełnie inaczej. Dowódca brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego marszałek polny John French nie mógł przez kilka dni wyjść z osłupienia. Pierwszą reakcją, na jaką się zdobył, było ostrzeżenie wystosowane do żołnierzy bratających się z Niemcami, że nie dostaną urlopu. Nakazał także żołnierzom, by nie dopuszczali do podobnych zająć w przyszłości. Siedzący w okopach wojacy niewiele sobie robili z pomruków groźnego dowódcy. Nie miał on zbyt dobrej opinii wśród żołnierzy. Krążyła plotka, że został dowódcą korpusu ekspedycyjnego wyruszającego do Francji tylko ze względu na nazwisko. Brytyjski dowódca nie miał też zbyt dobrej opinii wśród francuskich sojuszników. Generał Joffre wręcz go nie znosił. Brytyjczycy nie byli podporządkowani francuskiemu dowództwu, mogli podejmować operacje na własną rękę. Ta sytuacja także była przyczyną opóźniających się reakcji generalicji na spontaniczny, świąteczny zryw wojska.

Rozejm trwał kilka dni. W końcu Brytyjczycy i Francuzi oprzytomnieli. Kiedy kolejnego ranka niemieccy żołnierze i oficerowie podnieśli się z okopów, by pójść z wizytą do swoich brytyjskich i francuskich kolegów, przywitała ich salwa karabinów maszynowych. Padli ranni i zabici, wstrząs był ogromny. Wściekli Niemcy walili we wszystko, co się ruszało. Nikt nie zbierał rannych i zabitych z korony okopu. Słychać było krzyki i przekleństwa, nikt nie śpiewał. Piekło znów zstąpiło na ziemię.

<http://www.makbet.pl/artukul/2328/cuda-w-czasie-wojny>